

ARIA

NAZANINE HOZAR



IMPONUJĄCY ROZMACH.
IRAŃSKI „DOKTOR ŻYWAGO”.

MARGARET ATWOOD

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ARIA

Copyright © Nazanine Hozar 2019
All rights reserved under International and Pan-American
Copyright Conventions

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Joanna Jurewicz 2023

Korekta: Sabina Raczyńska, Dorota Jakubowska

Projekt graficzny i ilustracje na okładce: Agnieszka Drabek

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



MEHRI OTWORZYŁA OCZY. LEŻAŁA na stosie dywanów.

– Czy on wygląda jak jego ojciec? – zapytała.

Starszy mężczyzna, Karimi, trzymał dziecko.

– Ona nic nie wie? – wyszeptał, obracając się do żony.

– Czuje to – odparła Fariba, zerkając na Mehri. Znacznie młodsza od męża, była jedyną jej przyjaciółką.

– Przecież widzę, że nie wie – upierał się Karimi.

– Cicho bądź. Masujesz dziecko tak, jak ci pokazałam?

– Tak, tak. – Potarł dłonią pierś i plecy noworodka.

– W co myśmy się wpakowali? – powiedziała Fariba. – Masuj, masuj.

Wyjęła kawałek mięsa z lodówki i położyła je na patelni.

– To dla matki. Nie dla ciebie – oznajmiła mężowi. Ponownie spojrzała na Mehri. – Zmarnowała sobie życie w tym samym momencie, w którym jej wzrok padł na tego mężczyznę. Mówiłam jej, żeby pracowała dla ciebie, tutaj, w piekarni, zamiast u niego. Ale odparła, że chciałaby zostać jego żoną. I teraz widzisz, co z tego wyszło.

Po jakiejś minucie Karimi zapytał:

– Żono, dlaczego to dziecko nie wydaje żadnego dźwięku?

– Bo ma niebieskie oczy* – odparła Fariba. – I jest przeklęte, jak jego matka.

MEHRI GODZINAMI LEŻAŁA BEZ RUCHU pod kocem, odwrócona plecami do ściany. Wstydziła się spojrzeć na przyjaciółkę.

– Ostrzegałam cię przed małżeństwem z nim, prawda? – odezwała się Fariba. – Ile razy mówiłam, że będzie cię bił? – Owinęła dziecko, przytuliła je do piersi i podeszła do Mehri. – Nie chciałaś jej potrzymać? – spytała.

Mehri milczała.

– Nie możesz udawać, że ona nie istnieje. Tak, to dziewczynka. Ale to nie takie straszne.

– On mnie zabije – powiedziała Mehri.

Karimi opierał się o ścianę, twarz ukrył za gazetą. Ale jego dłonie drżały. Bolały go od pomocy przy porodzie. A teraz czuł zażenowanie, gdy patrzył na Mehri.

– Wiesz co, mężu, gdybyśmy mieli radio, nie musiałbyś czytać gazety. Mógłbyś tylko ją sobie trzymać – powiedziała Fariba. – Jest tyle rzeczy do słuchania w radiu. Krótkie sztuki. Miło byłoby posłuchać choć jednej z nich. – Odwróciła się od Mehri i przyłożyła płonąca zapalną do węgli w piecyku.

Karimi zsunął okulary do czytania na czubek nosa i złożył gazetę.

– Nonsens – mruknął. – Przejmujesz się małym radiem, kiedy większość tych z bogatych dzielnic północnego Teheranu pyszni się swoimi telewizorami. I tyle lat temu nauczyłem się czytać. Dlaczego więc nie miałbym czytać gazety? Wtedy nikt nie umiał czytać. Ani moja matka, ani ojciec. Byłem jedynym dzieckiem wałęsającym się po ulicach, które to umiało. Sam z siebie rysowałem litery, a ty...

*W kulturze perskiej niebieskie oczy u dziecka to zły omen.

– Co to jest telewizor? – zapytała nagle Mehri, podnosząc wzrok. Dostrzegła błysk światła na włosach niemowlęcia. Były czerwono-brązowe, jak jego ojca.

– Ekran filmowy, tylko mniejszy – odparł Karimi, nie patrząc na przyjaciółkę żony. – Dostatecznie mały, by zmieścić się w pokoju. W północnym Teheranie wszyscy je mają. Kiedyś występował w nim Mosaddegh.

– Dlaczego nasz premier był w telewizorze?

– By pokazać, że żyje. Ktoś chciał go zabić. Prawdopodobnie ci brudni Brytyjczycy. – Karimi wrócił do czytania. – Niech ich wszystkich piekło pochłonie! Jak nie komuniści, to Anglicy, jak nie Anglicy, to miłośnicy tych pieprzonych turbanów, którzy myślą, że są dobrzy jak Bóg. Jak nie...

Fariba z hukiem postawiła garnek.

– Ta biedna dziewczyna niemal dziś umarła, a ty przejmujesz się swoimi politykami?

– Nie będziesz mnie besztła w jej obecności – odciął się Karimi. – Niech mnie szlag trafi, nikt już nie kocha tego kraju. Poza nim. Mosaddegh jest wielki. Wielki, mówię!

Mehri zamknęła oczy i udawała, że śpi.

– To jest sprawa kobiet – dodał Karimi łagodniej, ruchem głowy wskazując Mehri. – Chcesz, żeby sąsiedzi gadali? Nie możemy jej tu trzymać.

– Wszystko w porządku, Karimi – odparła Fariba. – Po prostu siedź sobie tutaj, pij swoją herbatę i czytaj swoją gazetę. Może zastanów się, co twój wielki pan Mosaddegh pomyślałby o tobie.

PRZEZ NASTĘPNE DWA DNI MEHRI nie chciała wziąć niemowlęcia na ręce, nawet kiedy jego ojciec Amir kopniakiem otworzył drzwi piekarni Karimiego. Z balkonu na drugim piętrze Fariba zawołała do Amira, że jego syn nie jest synem, tylko w każdym calu

dziewczynką.

– To znieś ją na dół, a ja ją zabiję! – odkrzyknął Amir.

– Musisz jej nadać imię – powiedziała Fariba, odwracając się do Mehri. – Teraz.

Ale pod koniec dnia niemowlę wciąż było bezimienne. A Amir wciąż siedział przy drzwiach, chcąc je zabić.

– Warczy na ludzi, którzy przychodzą do piekarni – oznajmiła Fariba, kołysząc niemowlę w ramionach. – Wiesz, muszę ją karmić mlekiem w proszku. To nie jest dla niej dobre. – Poprawiła się na jednym z pokrywających podłogę perskich dywanów, na którym siedziała. Wychyliła ostatni łyk ginu ze szklanki na herbatę i postawiła ją na podłodze. – Jest jeszcze twój brat.

– On mi nie pomoże – powiedziała Mehri.

– Zawsze tak mówiłaś, ale przecież tego nie wiesz. A ten chłopak, Amir, raczej zabije córkę, niż będzie za nią płacił. Masz kogokolwiek innego poza bratem?

– Nie.

Karimi wszedł do pokoju i usiadł obok żony.

– Wciąż źle się czujesz, dziecko? – zapytał Mehri. Głos miał łagodny, ale zmęczony. Znał tę dziewczynę od trzynastego roku jej życia, była przyjaciółką Fariby młodszą od niej o pięć lat. Z trudem znosił widok jej bólu.

Mehri okryła się czadorem i spuściła oczy. Przygryzła miękki róg materiału. Od tygodni nie był prany. Czasem, kiedy szła ulicami, zastanawiała się, czy inni wyczuwają jej zapach.

Fariba wyprostowała grube nogi i wstała, trzymając dziecko na rękach.

– Żono – Karimi także wstał – odłóż dziecko i chodź ze mną.

Szepcząc, wyszli do drugiego pokoju. Mehri słyszała ich rozmowę – wprawdzie tylko fragmenty i strzępki, ale to jej wystarczyło.

– Nie mogę tego zrobić – usłyszała Karimiego.

– A jesteś gotów płacić za ich utrzymanie? – zapytała Fariba.

- To mój dom. I znaj swoje miejsce, kobieto!
- To moja przyjaciółka. A ze swoimi przyjaciółkami robię to, co chcę. W dodatku znam ją: kłamie, gdy mówi o bracie.
- Rząd nie zrobi nic dla takiej rodziny – stwierdził Karimi.
- Więc to ich własny ciężar – odparła Fariba. – Nie wiem, co ci powiedzieć, mężu. Gdyby nie chodziło o prawa...
- Mniejsza o prawa. Co my zrobimy z nim?
- O nim pomyślimy później. Odetnę mu ten barwiony henną łeb, jeśli będę musiała.

PIEKARZ I JEGO ŻONA wciąż rozmawiali, kiedy Mehri podniosła niemowlę i wyszła przez tylne drzwi. W padającym śniegu rozluźniła czador i wyciągnęła spod niego twardy ciemny sutek. Poczowała ból w piersi od mroźnego powietrza. Podsunęła ją dziecku, lecz mleko kapło na boki. Było jej zimno, ale skóra niemowlęcia wydawała się jeszcze zimniejsza. Ponad nimi księżyc ukrył się za chmurą. Zaslona śniegu zaczynała okrywać miasto. Mehri czuła krew płynącą po nogach. Zostawiała za sobą ślady. Amir znalazłby ją, gdyby za nimi poszedł, samotny wilk tropiący ofiarę.

Ale Mehri wiedziała, jak go przechytrzyć. Jako żebrzące dziecko niekiedy dochodziła do ulic w północnej części Teheranu, gdzie mieszkali bogaci, i niektórzy z nich czasami dawali jej coś do jedzenia. Przez większość dni nie dostawała nic – w przeciwieństwie do brata. Ale on był chłopcem.

Kiedy dotarła do ulicy Pahlawiego, która łączyła południową część miasta z północną – podzielone światy i istnienia – uprzytomniła sobie, że teraz wygląda inaczej, niż ją zapamiętała: była prawie pusta, prawie cicha; jej duchy rozmawiały ze sobą, a bogacze od dawna spali. W świetle ulicznych latarni widziała zaśniewane ulice, wiodące aż ku szczytom gór Elbursu odległym o dwadzieścia kilometrów. Jako dziecko marzyła o tym, by się do

nich dostać. Rozłożyłaby ramiona i pofrunęłaby tam, jak ten feniks ze starych baśni. Zastanawiała się, czy wówczas mogłaby poznać tajemnice ulic. Może mieszkańcy gór, daleko od dolin miasta, oddychają swobodniej? Wyobrażała też sobie bogatych w czasie ich pikników urządzanych na wzgórzach i brzegach rzek.

Po trzech godzinach drogi znalazła się gdzieś w centrum. Nogi jej się trzęsły. Nie mogła opanować bólu, mięśnie uderzały w jej kości niczym wojenne bębny. Bolało ją całe ciało. A najbardziej wagina. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby dziecko wypadło jej z ramion. Czy zamarzloby i stało się wiadomością dla przyszłego świata: strzeż się narodzin, strzeż się życia, strzeż się, jeśli przyjdiesz i jesteś niechciana? Czy gdyby niemowlę spadło na ziemię, pękłaby mu czaszka? Czy połamałyby mu się kości? A może, tak jak dzieje się to w czasie narodzin, dziecko pokonałoby wszystkie czyhające na nie trudności i zmusiło ciało, by wyszło na świat?

Z każdym krokiem miasto coraz bardziej się odsłaniało. Otwierały się przed nią jego struktura, jego szerokie ulice i obnażały świat uprzywilejowanych. Tutaj, w centrum, budynki były wyższe; widziane z bliska wydawały się równie ogromne jak otaczające je góry. Po jednej stronie ulicy stał najwyższy budynek, jaki kiedykolwiek widziała. Widniał na nim wizerunek starego mężczyzny – premiera Mosaddegha. Rozpoznała go. Teraz każdy znał jego twarz. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem ruszyła dalej, obok zaparkowanych samochodów i pojedynczych pojazdów łagodnie dryfujących przez noc. Pomyślała, że nawet kształty aut zmieniły się od czasu, kiedy błąkała się tutaj ostatni raz. Były bardziej opływowe, w kolorach, jakich nigdy wcześniej nie widziała.

Teraz ulice i chodniki zdawały się szersze. Mehri czuła, jak bolą ją z zimna palce u stóp. Niemowlę było dziwnie ciche, jakby wiedziało, co jego matka zamierza zrobić. Mehri dotknęła obolałych ud, przesuując dłonią po trzech warstwach czadoru – jedna dla pobożności, jedna dla kultury i jedna dla ciepła. Podniosła garść

śniegu, włożyła ją pod czador, tam gdzie została rozerwana, i próbowała zmyć plamę, ale zimno ukąsiło ją jeszcze mocniej. Jej palce zabarwiła krew. Ponownie wsunęła sutek w usta dziecka, lecz nie chciało ssać.

Szła kolejną godzinę, zanim dotarła na środek dużego skrzyżowania. Kosmyki traw na skrajach ulic próbowały przebić się przez śnieg. Mehri rozejrzała się dookoła. Wszystko tutaj było nowe, wszystko było nowoczesne.

Z tego skrzyżowania mogła iść w cztery strony świata. Mogła pójść na południe albo na północ, mogła też zostać tutaj, na ulicy, która wiodła na wschód i na zachód. Gdy spojrzała na zachód, znowu go zobaczyła – wizerunek starszego mężczyzny, tym razem na gazecie przyklejonej do ceglanej ściany. Ulica prowadząca na wschód była węższa, wzdłuż niej rosły małe drzewa, bezlistne z powodu zimy. Jedno z nich było inne. Morwę znała z dzieciństwa – razem z bratem godzinami zbierali jej owoce. Wkładali ich tysiące w blaszane puszkę, suszyli je i słodzili, a potem sprzedawali. A wieczorami mieli wystarczająco dużo pieniędzy na jedzenie – może nawet na odrobinę mięsa utrzymującego ich mięśnie w gotowości do pracy.

Mehri nigdy nie wyobrażała sobie, że zostanie matką. Życie nie wydawało się wystarczająco długie na coś takiego. Ale w końcu popędziło ku niej, zderzyło się z nią, zaczęło się rozwijać w jej organach, między mięśniami i naczyniami krwionośnymi, miesiąc po miesiącu, a potem wybuchnęło z niej w postaci, którą teraz trzymała w ramionach. Bardzo chciała przytulić niemowlę, może nawet je pocałować. Zamiast tego dotknęła głową drzewa morwy i poczuła jej bruzdy. Niemowlę zaskomlało po raz pierwszy, jakby w proteście, jakby błagało o odrobinę litości.

Mehri szła dalej. Zobaczyła kolejną morwę, a za nią otwarty zaułek. Ze środka dochodził smród odpadów. Zasłoniła twarz czadorem i skręciła. Po obu stronach leżały papierowe worki ze

śmieciami. Z dzieckiem na jednym ramieniu szła wzdłuż ich rzędów, szukając właściwego miejsca. Nie czuła nic i straciła poczucie czasu. Gdy położyła niemowlę na ziemi, właściwie się nie poruszyło. Przez kilka minut żadne z nich ani drgnęło. Światło księżyca oświetliło twarz dziecka i Mehri po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Fariba mówiła, że obie mają taki sam kolor oczu. Mehri pochyliła się i pogłaskała policzki dziecka, jego podbródek i czołko. W świetle księżyca spostrzegła, że krew z jej palców zabrudziła dziewczynce buzię. Ale teraz nie mogła już nic na to poradzić.

Wreszcie wstała i odwróciła się. Odeszła – tak daleko, że nawet w świetle księżyca nie mogłaby zobaczyć córki.

W MILCZĄCEJ NOCY NA zwirowej drodze dudniły samochody ciężarowe, wibrowały niczym mrówki w szeregu; ich grube plandeki trzęsły się w rytm warkotu silników, koła wznosiły pył, przesłaniając mgłą mroźne lutowe powietrze. Behruz Bachtiar zamknął oczy. Cienkie kości jego twarzy pokrywała warstewka brudu. W świetle księżyca patrzył, jak cztery ośmiokołowe ciężarówki, pełne młodych mężczyzn z prowincji, wyruszały w drogę.

Tej nocy nie będzie odwoził tych młodych mężczyzn do domu tak jak zwykle. To była pierwsza noc z jego czterech wolnych dni. Włoży papierosa do ust, zapali go ostatnią zapalką, jaką ma w kieszeni, i zacznie schodzić z góry, na której ziemia miesza się ze śniegiem, a potem pójdzie drogą przecinającą miasto z północy na południe. To był jego Teheran, a on był tajemnym strażnikiem tego miasta, aniołem, który przysiadł na szczycie wzgórza i liczył budynki, drzewa, światła i ludzi łąjących niby owady nieświadome tego, że są obserwowane.

To dziwne, jacy są ludzie, pomyślał Behruz, trzymając papierosa w cienkich wargach. I zaczął spacer w dół i przez miasto, dokładnie tak jak zaplanował, dokładnie tak jak tego oczekiwał przez cały

dzień.

Bez wysiłku schodził po pochyłościach, co chwila zaciągając się papierosem. Zagwizdał, gdy uderzyła go pewna myśl. Chodził tą drogą wiele razy od czasu, kiedy nauczył się wjeżdżać samochodem pod górę. Ileż on miał wtedy lat? Siedemnaście? Teraz miał trzydzieści trzy, czyli od tamtego czasu minęło już szesnaście lat. Jeśli pomnoży się wolne dni przez szesnaście, to wychodzi na to, że zbocza Darake przeszedł już około czterech tysięcy razy.

Oczywiście czasami generałowie dawali mu pozwolenie, by pojechał na dół, oszczędzając mu w ten sposób trzygodzinnego spaceru. A kiedy się ożenił, dyżurny generał nie tylko zachęcał go, by wziął samochód, lecz także zwolnił go wcześniej, by mógł spełnić obowiązki męża – choć nie bez przypomnienia Behruzowi, jak stara jest jego żona.

– Myślisz, że twoja żona będzie w stanie poradzić sobie z nowo narodzonym maluchem? – zapytał.

Behruz ożenił się z Zahrą, kiedy miał dziewiętnaście lat – nalegał na to ojciec.

– Prorok był chłopcem, a jego żona miała czterdzieści lat, kiedy się pobrali – powiedział.

Ale Zahra nie była żoną Proroka. W wieku trzydziestu sześciu lat jeszcze nie miała męża, za to jej syn Ahmad był rówieśnikiem Behruza. Ahmad nie przyszedł na wesele. Tej nocy, kiedy Behruz zapytał nową żonę, gdzie jest jej syn, odparła:

– W jakimś więzieniu.

A potem się na niego rzuciła.

Na początku, kiedy zaczął prowadzić ciężarówki w wojsku, był bardziej rozmowny. Żołnierze go lubili. Odślaniali się przed nim, opowiadając o swoim życiu na wsi czy w małych miasteczkach. Chłopcy z Teheranu mówili o swoich szkołach i dziewczynach. Jedynym, który nigdy się nie otworzył, był członek rodziny królewskiej – kuzyn szacha. Ale Behruz przypuszczał, że to coś

innego. Dostał rozkaz, by nie patrzeć chłopcu w oczy.

Behruz został kierowcą, gdy miał szesnaście lat, ponieważ nie był dostatecznie silny, by walczyć, i dostatecznie inteligentny, by czytać. Ojciec nauczył go podstawowych rzeczy. Behruz mógł więc sprzedawać chleb na ulicach jak on albo pracować przy wydobywaniu ropy naftowej jak jego wujowie. Ale gdy raz to zaproponował, ojciec uderzył go w twarz tak mocno, że Behruz widział gwiazdy przez cały dzień. I na tym się skończyło.

Teraz, kiedy szedł, czuł, że czerwona ziemia pod jego ciężkimi butami jest zamrożona. Trzy noce temu szalała zawieja. Ale śnieg uprzątnięto i dziś leżał w wielkich hałdach wzdłuż drogi. Spacer nie był tak męczący, jak się spodziewał. Szybko dotarł do Darake na północnym krańcu ulicy Pahlawiego. Drogi były tu brukowane, a domy stare. Słyszał, że kiedyś mieszkał tutaj ojciec króla.

Przechodząc obok starego parkingu samochodowego ciągnącego się wzdłuż ulicy, bezskutecznie szperał po kieszeniach w poszukiwaniu kolejnego papierosa. Naprzeciwko szedł jakiś mężczyzna.

– Przepraszam, czy nie sprawi panu kłopotu, jeśli poproszę o papierosa? – zapytał Behruz. Nauczył się wysławiać grzecznie, tak jak tutejsi ludzie.

Mężczyzna wyciągnął jednego z paczki. Behruz wziął go i wsunął do ust. Mężczyzna wyjął zapalniczkę; jej płomień migotał na lekkim wietrze.

– Dziękuję – powiedział Behruz i zaczął odchodzić.

– A pieniądze? – zapytał mężczyzna.

Behruz zatrzymał się, zaskoczony.

– A pieniądze? – powtórzył przechodzień.

– Chce pan pieniędzy za zapalenie papierosa? – spytał Behruz.

– A co pan sobie myśli?

Behruz niezręcznie przetrząsnął kieszenie.

– Tylko żartowałem. Głupek! – Mężczyzna się roześmiał i

odszedł.

Behruz przyspieszył kroku, przecinając uliczki. Wiedział, że jest w dzielnicy Jusefabad, gdzieś w środku miasta. Normalnie chodził główną ulicą, ale tej nocy potrzebował odmiany. Rynsztokami płynęły strumienie ścieków, ale po obu stronach uliczek rosły kwitnące morwy. Ta dzielnica była jedną z jego ulubionych. Lubił narożne sklepiki, kina i kawiarnie, których – choć były stare – stałymi klientami byli bogaci ludzie.

Właśnie gapił się na litery napisu na fasadzie kina, kiedy usłyszał płacz – jakby dręczonego kota. Podeszedł bliżej do miejsca, z którego, jak myślał, dochodził dźwięk, ale zagłuszyła go woda bulgocząca w ściekach. Przeszedł przez następną uliczkę – tam też niczego nie znalazł. Szedł tak z uliczki w uliczkę, przeskakując ścieki. Im dłużej szukał, tym staranniej to robił. Jedyńm jego pomocnikiem był księżyc – w okolicznych domach zgaszono światła i wydawało się, że reszta świata jest pogrążona we śnie.

W końcu dotarł do samotnej morwy otoczonej rzędami worków ze śmieciami. Wpatrywało się w niego stado zdziczałych psów. Wyobraził sobie, jak kawałek po kawałku rozdzierają tę maleńką płaczącą istotę.

Podniósł kij z ziemi i ruszył na psy, ale żaden nawet nie drgnął. Jak długo tu stały? W miarę jak się zbliżał, kolejne psy siadały i patrzyły na niego spokojnie. W końcu schylił się i wziął niemowlę na ręce. Psy powąchały stopy Behruza, odwróciły się i odeszły.

Pędził w kierunku skraju miasta, obok opuszczonych budynków, w których potajemnie mieszkali biedni, obok stosów tektury, gdzie spali jeszcze biedniejsi. Zastanawiał się, jak długo dziecko nie jadło. Sklepy wciąż były zamknięte, ale żona musiała kupić trochę mleka, rozmyślał gorączkowo.

Niemowlę nie mogło mieć więcej niż trzy dni. Czuł ból w głowie. Na niebie wirowały gwiazdy. W końcu zobaczył niedaleko błady zarys swojego domu.

BEHRUZ SIEDZIAŁ W SALONIE przez trzy godziny, próbując nakarmić dziecko. Obudził śpiącą sąsiadkę i ta znalazła trochę mleka, ale niemowlę wypluwało większość z tego, co wypilo. Teraz znowu zanurzył skuwkę wiecznego pióra w miseczce z mlekiem stojącej obok niego na podłodze. Podniósł maleńkie naczynko do ust niemowlęcia, starając się nie za mocno je przechylać. Mleko popłynęło do ust dziecka, ale zniknęło w nich tylko kilka kropel. Wytarł dziewczynce buzię małym palcem. Po chwili znowu spróbował.

Zahra spała. Jej syn Ahmad, wypuszczony z więzienia zaledwie przed dwoma dniami, zostawił swoje brudne buciory na stole kuchennym. Wylądował w więzieniu za to, że odciął komuś palec, i Behruz wiedział, że wrócił do złodziejstwa.

Gdy nadszedł ranek, oczy same mu się zamykały. Z wychodzącego na północ okna patrzył, jak wschodzi słońce, a promyki światła pełzają ku niemu po podłodze. Żona smacznie spała w sypialni. Wstał, poszedł do jej pokoju i stanął przy łóżku, przyciskając niemowlę do piersi. Zahra leżała mocno owinięta w prześcieradła. Miała jasną skórę i proste delikatne włosy, które w lecie nabierały odcienia jasnego brązu. Lubiała je wtedy zakręcać na plastikowych wałkach.

Wrócił do salonu i ostrożnie położył dziecko na podłodze, a potem znów poszedł do sypialni.

– Musimy porozmawiać – wyszeptał.

Zahra osłoniła oczy od słońca.

– Jesteś w domu. Pewnie przez całą noc katowałeś się opium.

– Chodź ze mną. – Wyciągnął ją z łóżka.

Rączki i nóżki leżącego w pokoju niemowlęcia drżały, walczyło jak przewrócony na grzbiet owad.

– Myślę, że jest głodna – powiedział Behruz. – Dałem jej trochę

mleka, ale właściwie nic nie wypła. Chyba musi ssać, tak sędzę.

Zahra odwróciła się od dziecka.

– Gdzie ty to znalazłeś? Czy to jakiś twój problem, który teraz musimy rozwiązać? – Jej głos był ostry.

Behruz podniósł dziewczynkę.

– Nic z tych rzeczy – odparł. – Znalazłem ją w nocy w zaułku, w śmieciach. W Jusefabadzie.

– To północna część miasta – zauważyła Zahra. – Co robieś z tymi ludźmi? Posłuchaj mnie: odniesiesz dziecko tam, gdzie je znalazłeś, żeby te śmiecie, do których należy, mogły je sobie wziąć z powrotem.

– Wokół niej były psy. Nie wiem, co chciały, ale...

– Zabierz to z mojego domu. Wiem, że masz swoje paskudne sprawy. Nigdy mnie nie dotykasz, jakbym była z ognia i mogła cię sparzyć. Ale mężczyźni zawsze są mężczyznami. Musisz kogoś dotykać. – Zahra złapała buzię niemowlęcia. – Czy choć zerknąłeś jej w oczy? Są niebieskie. Przysięgam na imama Husajna, że przyniosłeś do mojego domu niebieskookiego diabła.

– Ma zielone oczy – sprzeciwił się Behruz.

– Nieprawda. Jest w nich niebieski odcień. Przyniosłeś do tego domu zło, Bachtiar.

Behruz słuchał w ciszy, jak Zahra odchodzi w kierunku sypialni, cały czas na niego krzycząc. Spędzili razem czternaście lat, a jej gniew tylko wzrastał. Spojrzał na dziecko. Zahra miała rację – w tych oczach było coś niebieskiego. Nie wiedział, jak utulić niemowlę. To było takie proste, gdy jako mały chłopiec bawił się w udawanie. Kotłosał swoje dziecko, karmił je tak jak dziewczyny z sąsiedztwa. I zawsze uważał, żeby ojciec nigdy się o tym nie dowiedział. Ale teraz leżało przed nim prawdziwe niemowlę. Jedyne, co mógł zrobić, to mówić do niej, mówić jak człowiek do człowieka. Nie tak jak człowiek do lalki czy jak pan do niewolnika. Tak, zrobi to, co ludzie zawsze robili od pierwszej szczeliny życia.

– Chcesz, żebym opowiedział ci historię? – szepnął do maleńkiej dziewczynki.

Jej pomarszczone powieki były mocno zaciśnięte, jakby nie chciała nigdy zmierzyć się ze światem.

– Chcesz, żebym opowiedział ci historię o drzewie Tuba? – zapytał znowu. I zaczął, mając nadzieję, że zagłuszy krzyki Zahry: – Gdzieś daleko za chmurami, za niebem, wysoko w niebiosach rośnie drzewo, drzewo Tuba, z którego korzeni tryskają mleko, miód i wino.

– Przeklinam ten dzień, kiedy wyszłam za mąż za chłopca! – wrzasnęła Zahra ze swojego pokoju.

Behruz kontynuował:

– Mleko, by cię pożywić, miód, by nasycić cię słodyczą, wino, by zabrać cię do krainy marzeń.

– Myślisz, że jesteś moim wybawcą, Bachtiar?! – krzyczała coraz głośniejsza Zahra. – Przez ciebie piekło trwa jeszcze dłużej!

Behruz zbliżył dziecko do swoich warg i dalej szeptał mu do ucha:

– Drzewo Tuba należy do niebiańskich sierot, ponieważ nie ma niczego, co byłoby od nich ważniejsze, moja maleńka.

Przerwał i znów nasłuchiwał, ale Zahra już zakończyła swoją tyradę. Niemowlę otworzyło oczy, ale zaraz ponownie zasnęło.

– Śpiewałaś do mnie z tego zaułka – wyszeptał do dziewczynki – a ja usłyszałem twój śpiew. Gdybym nie usłyszał i cię nie uratował, czekałoby na ciebie drzewo Tuba i byłabyś tak samo ocalona.

Zamilkł. Zaczął się zastanawiać, czy uratowanie tej małej rzeczywiście było właściwe. Ale skoro już ją uratował i zmusił do tego czegoś zwanego życiem, musiał zrobić jeszcze jedną rzecz.

– Kiedy byłem małym chłopcem, lubiłem muzykę – powiedział, wkładając mały palec do jej ust, by mogła go possać. – Śpiewałem potajemnie, tak by mój ojciec tego nie słyszał. Lubiłem śpiewać arie. Wiesz, co to jest? Krótkie opowieści, nocne wołania. Kiedy

śpiewasz arię, świat dowiaduje się o tobie wszystkiego. Zna twoje sny i sekrety. Twój ból i twoją miłość.

Usłyszał, jak Zahra rzuca poduszką o ścianę sypialni, i na moment przerwał, by nasłuchiwać. Po chwili ciszy podjął znowu:

– Nazwę cię Aria, imieniem każdego bólu i każdej miłości na tej ziemi. To będzie tak, jakbyś nigdy nie została porzucona. A kiedy otworzysz usta, by mówić, pozna cię cały świat.

1

LALKA LEŻAŁA W KURZU ogrodu. Część jej twarzy była odsłonięta i patrzyła na Arię, jakby czekała, żeby ją ocalić. Nawet z tej odległości Aria widziała, że lalka ma takie same oczy jak ona. Położyła się na brzuchu i wyciągnęła rękę, ale zabawka leżała za daleko. Aria była mała jak na swój wiek. Każdej innej pięcioletniej dziewczynce udałoby się dosięgnąć do lalki, pomyślała. Sukienka, którą ojciec podarował jej miesiąc temu, już była szara. Teraz, gdy Aria pełzła po ziemi, stan ubrania jeszcze bardziej się pogarszał. Będzie miała kłopoty.

Jedna z powiek lalki była do połowy zamknięta, ale otworzyła się, kiedy Aria w końcu złapała zabawkę i potrząsnęła drewnianym ciałem. Mrugnęła do niej. A potem odczołgała się z powrotem, przytulając lalkę do piersi. Stanęła na palcach i zajrzała przez okno, które wychodziło na ogród. Zahra była gdzieś w środku – jeśli zobaczy Arię w takim stanie, znowu zrobi jej coś złego.

Ojca nie było w domu przez cały tydzień; wyjechał do pracy w koszarach i obozach wojskowych. To oznaczało, że Zahra dawała jej jeść tylko raz dziennie, ponieważ takie małe dziecko nie zasługiwało na nic więcej. Czasami Aria podkradała jedzenie Zahry ze stołu, kiedy tamta nie patrzyła.

Dziewczynka w podskokach przebiegła wokół dziedzińca, ścisnąc lalkę w dłoniach. Przeskakiwała przez wyobrażone wąwozy

otwierające się w szczelinach bruku. Kiedy ogień wybuchał aż do krawędzi wąwozów, skakała wyżej. Potem podbiegła do fontanny. W gorące dni lata lubiła się bawić w jej małej cementowej misie. Ale sąsiedzi, którzy na zmianę myli w niej naczynia, nie byli z tego zadowoleni, więc gdy Zahra ją tam znajdowała, dawała jej kilka zdrowych kuksańców, by w końcu ją wychować. Jednak dzisiaj dziewczynka miała inne zadanie: musiała umyć lalkę. Udawała, że dostała ją od Boba. Nie nazywała go „baba” tak jak inne dzieci swoich ojców.

Uklęka przy basenie, zdjęła z lalki brudną sukienkę i zanurzyła w wodzie. Namaczała ją przez dłuższą chwilę, przebiegając palcami po jej splątanych włosach. Kiedy skończyła, wytarła lalkę do sucha przodem własnej sukienki, jej najmniej brudną częścią. Potem podniosła sukieneczkę lalki. Wzdłuż jej fałd widniały płatki kwiatów. Aria tarła tkaninę, tak jak robiła to Zahra, gdy prała własne ubrania. Kiedy sukienka była czysta, dziewczynka ubrała lalkę i położyła ją ostrożnie na trawie obok misy fontanny, by wyschła. A potem sama położyła się obok i zasnęła. W ciepłym słońcu śniła o kobiecie, która mówiła jej, jakie ma szczęście, że znalazła tę lalkę, i że powinna zapomnieć o głodzie, jeśli chce być dobrym wojownikiem. Spała mocno i śniła o innych rzeczach, takich jak lwy na pustyni i koczownicy w górach.

Kiedy Zahra pociągnęła ją za włosy, Aria zbudziła się, zbyt zaskoczona, by krzyczeć. Zahra uderzyła ją w twarz wierzchem dłoni, wiedząc, że w ten sposób zadaje jej najwięcej bólu. Z rany na policzku po ślubnym pierścionku Zahry spływała krew.

Jeden z sąsiadów po drugiej stronie dziedzińca, pan Dżahanpur, widział to z balkonu. Wszedł do mieszkania, trzaskając drzwiami, a potem znowu wyszedł na balkon, z megafonem w dłoni.

– Proszę pani... proszę pani, to nie jest pobożne! Radzę pani nie...

– Pilnuj swojego nosa, ty skurwielu! – wrzasnęła Zahra.

Pan Dżahanpur spróbował jeszcze raz. Jego głos ryczał w megafonie:

– Proszę pani, to naprawdę nie jest właściwy sposób postępowania!

Zahra przerwała bicie.

– Posłuchaj, panie zbawco, to jest moja cholerna córka. I zrobię z nią, co będę chciała.

– Proszę pani, mówiłem pani już ostatnim razem, żeby panowała pani nad sobą. Dziewczynka tylko się bawiła. Przyglądałem się jej.

– No to musi być pan takim samym zбочeńcem jak idiotą – odcięła się Zahra. – Niech pan to odłoży. Czy wszyscy sąsiedzi muszą pana słyszeć?

Pan Dżahanpur stał w milczeniu, kiedy Zahra ciągnęła kopiającą w powietrzu nogami Arię do domu.

– Idź na balkon – powiedziała, wpychając tam dziecko. – Ani śniadania, ani obiadu, nic dla ciebie dzisiaj nie będzie.

– I tak nie chcę jeść! – wrzasnęła Aria.

Kobieta zamknęła drzwi balkonu na klucz.

Z tego miejsca Aria dostrzegła, jak pan Dżahanpur kuca na dziedzińcu tuż obok ogrodu, w którym bawiła się dosłownie przed chwilą. Ręce założył za plecy i wpatrywał się w kępkę trzciny. A potem spojrzął na mieszkanie Arii.

– To nasza wspólna przestrzeń, ty głupia babo – powiedział. – Nie należy do ciebie.

Pochylił się, wyciągnął jedną trzcinę i teraz Aria dostrzegła, że za panem Dżahanpurem stoi jego syn. Chłopiec pokręcił się obok ojca, a potem podszedł do basenu i splectetka trawy, gdzie Aria zostawiła lalkę. Złapał ją i wbiegł do środka. Ojciec podążył za nim.

– Powiedz mu, żeby oddał mi moją lalkę! – krzyknęła za nim Aria.

Ale on nie odpowiedział.

BYŁO JUŻ PRAWIE CIEMNO, kiedy Arię obudził jakiś głośny dźwięk.

– Wstawaj – usłyszała nagłący głos.

Aria przetarła oczy. Przycisnęła twarz do balustrady balkonu.

– Kim jesteś? – spytała. – Nie widzę cię.

– Schodź na dół.

W świetle księżycy pojawiła się postać. To był syn sąsiada.

– Mieszkam naprzeciwko ciebie – powiedział. – Tam, w kuchni, jest moja mama. – Wskazał na mieszkanie po drugiej stronie dziedzińca.

Przez okno widziała kobietę stojącą nad dymiącym garnkiem.

– Co mnie to obchodzi? Oddaj mi moją lalkę. Widziałam, że ją wzięłeś.

– Wiedziałem, że jest twoja. Wziąłem ją, żeby móc ci ją oddać. Widziałem, jak twoja mama cię bije. Oddałaś jej? Mój baba mówi, że jeśli kiedykolwiek uderzy mnie w ten sposób, mogę mu oddać.

– Dawaj mi moją lalkę.

– Poczekaj. Chcę, żebyś mi w czymś pomogła. Widzisz to duże drzewo przed nami? – Chłopiec wskazał na wysoką wiśnię rosnącą na samym środku dziedzińca. Jej gałęzie były tak długie, że ocierały się o balkon.

– Czego chcesz od tego drzewa?

– Dosięgniesz do gałęzi z miejsca, w którym jesteś? Moja piłka tam utknęła – odparł chłopiec.

– Nie. Najpierw oddaj mi lalkę.

– Nie mogę. Musiałbym ją podrzucić, a nie dam rady tak wysoko. Ale mój baba mówi, że kiedyś będę tak silny jak on. Chcesz zobaczyć moje mięśnie?

– Nienawidzę twoich mięśni. Mój Bobo też jest silny.

– Kto to jest „Bobo”?

– Ktoś taki, jakiego ty też masz, głupku – rzuciła Aria. – Mój tata.

– Więc dlaczego nazywasz go „Bobo”?

Aria wychyliła się przez balkon.

– Nie musisz jutro iść do szkoły?

– Po prostu potrząśnij trochę gałęziami i piłka spadnie – powiedział chłopiec.

– Nie mogę z tobą rozmawiać. Będę miała przez ciebie kłopoty.

– Słuchaj, jeśli pomożesz mi teraz z tą piłką, jutro po szkole przyniosę ci prezent. I oddam ci lalkę.

– Nie potrzebuję prezentów – odparła Aria.

Nadaśany chłopiec usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

– Nienawidzę cię! – zawołał. – Jesteś głupią małą dziewczynką!

– Jestem duża – odparła. – Jestem bardzo, bardzo duża.

Kiedy nie odpowiedział, dodała:

– Mam już pięć lat. A gdy zacznie padać śnieg, skończę sześć.

– Posłuchaj, mogłabyś, proszę, potrząsnąć tymi gałęziami?

Szyja mnie boli od patrzenia w górę i gadania z tobą.

Aria podeszła do balustrady.

– Jak masz na imię? – spytała.

– A ty?

– To ja cię pierwsza zapytałam.

– Kamran.

– Nigdy nie słyszałam takiego imienia.

– Masz tylko pięć lat. Daj sobie trochę czasu.

– Jestem Aria.

– Aria? – Wybuchnął śmiechem. – To imię chłopca!

– Nie jestem chłopcem.

– W porządku, nie jesteś. Pomożesz mi?

– Może. – Gdy wyjrzała przez barierkę, zauważyła w chłopcu coś dziwnego, w jego twarzy, w jego wargach.

– Czy twój ojciec cię uderzył? – zapytała.

– Nie – odpowiedział.

– To dlaczego twoje usta są roztrzaskane?

Wyglądał na speszzonego.

– To moje... To moje... Urodziłem się z tym. Moje usta są jakby na opak.

– Na opak? Mogę nazywać cię „Chłopak na Opak”?

– Nie, nie możesz – odpowiedział.

– Dobrze, nie będę. Jeśli dotrzymasz obietnicy z prezentem – powiedziała Aria. Podeszła do miejsca, z którego niemal mogła dotknąć gałęzi, ale wciąż były za daleko. – Nie dosięgam! – krzyknęła do niego.

– Stań na krawędzi barierki! – odpowiedział Kamran.

Zrobiła to, o co prosił, i wyciągnęła się tak daleko, jak tylko mogła.

– Złapałam jedną! – zawołała.

– Potrząśnij nią najmocniej, jak potrafisz!

Potrząsnęła gałęzią i usłyszała, jak piłka uderza o ziemię. Chłopiec złapał ją i pobiegł w kierunku swojego domu.

– Nie zapomnij o mojej lalce, Kamranie! Chłopaku z rozbitymi na opak ustami! – wrzasnęła w ciemność.

KAMRAN MOCNO ŚCISKAŁ PIŁKĘ. Odsunął stopą metalowe drzwi do mieszkania, wbiegł na górę do swojego pokoju i schował piłkę pod łóżkiem. Gdy schodził na dół, na chwilę zatrzymał się przy oknie, z którego od miesięcy obserwował córkę Bachtiaara, od momentu, kiedy pozwolono jej bawić się w ogrodzie. Było mu smutno, że zauważyła jego zniekształcone usta. Ale przecież każdy je widział. Dzięki Bogu, wpadł na pomysł rzucenia piłki na drzewo. To był najlepszy sposób, żeby ją poznać. I nie była taka dziwna, jak myślał. Nawet dość miła. Tylko miała dziwne imię, chłopięce. Wiedział, co ono oznacza. Irańską rasę. Ale nadawano je wyłącznie chłopcom.

W kuchni matka karmiła jego młodszą dwuletnią siostrę. Otworzył lodówkę. W środku był jedynie chleb.

– Nawet nie waż się dotknąć – powiedziała matka. – To obiad. Kamran usiadł przy stole i patrzył, jak siostra ssie pierś matki.

– Co robiłeś z tą dziewczynką? – zapytała matka.

– Bawiłem się – odparł.

– Ona jest bękartem. Trzymaj się od niej z daleka.

– Ma przecież mamę i tatę – powiedział Kamran.

– To nie są jej prawdziwi rodzice. Jest znajdą. Z ulicy. I ma niebieskie oczy. To oznacza, że nosi w sobie diabła. Trzymaj się od niej z daleka albo w nocy do twojego łóżka przyjdzie džinn. Chanum Kokab wzięła kiedyś znajdę. Wszyscy w jej rodzinie umarli, nawet kot. A teraz ta dziewczynka z niebieskimi oczami. To jeszcze gorzej.

– Jej oczy są zielone – zauważył Kamran. – Tak mi się wydaje.

– Jak mogłeś cokolwiek zobaczyć w ciemności, synku? Dzieci diabła pochodzą od džinna, a co robią džinny?

– Zwodzą nas – odparł.

– Właśnie. Więc nie daj się zwieść. Wszystko, co ci mówi, to oszustwo. Nawet Prorok, niech spoczywa w pokoju, przysięgłby, że to prawda.

– Kiedy byłaś mała, w twoim mieście były džinny? – zapytał Kamran.

– Wszystko, co mieliśmy w Jazdzie, to kurz, džinny i Żydzi. I świątynie, w których zaratusztrianie robili swoje hokus-pokus. Dżinny: hokus-pokus, Żydzi: hokus-pokus, zaratusztrianie: hokus-pokus. Założę się o te niebieskie oczy, że dziewczynka jest córką Żyda albo džinna.

– Dzieciaki w szkole mówią, że džinnów nie ma. To wymyślone historie z małych miasteczek.

– Jazd nie jest małym miasteczkiem. Kiedyś był stolicą świata. I jeśli nie wiesz, że tę ziemię stworzył džinn, to nie pojmuję, czego się nauczyłeś.

Gdy matka rozluźniła chustę na głowie, Kamran dostrzegł zgniły ząb w jej ustach. Inny już wyleciał. Kiedy ten zgniły też

wyleci, pomyślał, będzie wyglądać jak te głupie kobiety na ulicach.

– Dzieciaki w szkole mówią, że jeśli pijesz mleko, twoje zęby stają się ładne – powiedział.

– Mleko jest dla dzieci – rzuciła.

– Czy baba mógłby przynieść dla nas mleka dziś wieczorem?

– Powiedz mi, która jest teraz godzina. – Matka wyciągnęła nadgarstek z zegarkiem.

– Stała! – odpowiedział Kamran. – Nie ukręciłaś go.

– Nie nakręciłam go – sprostowała.

Natychmiast się poprawił:

– Nakręć go. Tak czy owak, nie możesz mieć ukręcanego zegarka, jeśli się na nim nie znasz.

Matka zadzwoniła bransoletką. Była na nią za luźna.

– To ślubny prezent od twojego ojca. Może nauczysz mnie odczytywać czas? To właśnie robią dobrzy chłopcy dla swoich mam, hę?

Kamran usłyszał kroki przy drzwiach i obrócił się.

– A teraz idź i pomóż Kazemowi – poleciła, odwracając się do jego siostry.

Kazem był ojcem Kamrana. Używał panieńskiego nazwiska swojej matki – Kazemi – ale od dzieciństwa każdy w Jazdzie nazywał go „Kazem”. Kiedy matka Kamrana wyszła za niego za mąż, nazwisko zostało. Ale Kamran nazywał ojca „Kazem”, tylko kiedy było mu go żal.

Kazem niósł dwie pełne siatki. Kamran wziął je od niego, postawił na podłodze i zaczął wyjmować zakupy. W jednej z siatek były szmaty i dwie butelki mleka. W drugiej znalazł dwa bochenki chleba i trzy zgniłe jabłka.

– To wszystko? – spytał.

– Na dziś wieczór tak. – Ojciec podniósł rękę, by pokazać ją matce Kamrana. Była owinięta w zakrwawiony bandaż.

– Och! Coś ty sobie zrobił, mężu?

Kazem usiadł na kanapie. Podniósł się z niej kurz, a on zaczął kaszleć.

– Zobaczmy, co sobie zrobiłem. Podejdz tutaj, synu. – Odwinął bandaż, ukazując zmiądzony palec, spuchnięty i siny. Podał opatrunek Kamranowi. – Widzisz, synu, to, co zrobiłem, było głupie. Cegły powinno się układać na wierzchu poprzednich, ale nie dokładnie na wierzchu. Powinny leżeć w warstwach, rozumiesz? Kolejną cegłę umieszcza się pośrodku dwóch, które są poniżej. Między nimi zaprawa, rozsmarować, raz-dwa, przyłożyć nową cegłę, raz-dwa. Naprawdę szybko: zaprawa, cegła, zaprawa, cegła. Ale gdy zrobisz to za szybko, masz taki biedny palec. – Podniósł go i roześmiał się, widząc przerażoną minę syna. Poczochrał mu włosy. Śmiejąc się, rzeził, bo za dużo palił, a kurz z cegieł wchodził mu do płuc. – Nic się nie stało – powiedział. – Wszystko się goi.

– Możesz pracować? – zapytał Kamran.

– Nie przejmuj się – odparł ojciec. – A jedna z tych butelek jest twoja. Wypij ją całą. Mój ładny syn musi mieć ładne zęby.

Ponownie zmierzwił włosy Kamrana i poszedł do kuchni. Pocałował córeczkę, która tymczasem zasnęła przy piersi matki.

– A druga butelka jest dla ciebie – zwrócił się do żony. – Żadnych protestów. Pieniądze przyjdą. Idę spać.

– Twój syn dziś wieczorem bawił się z tą córką dzinna – powiedziała matka Kamrana.

– Mamo, przestań! – Chłopiec zwrócił się błagalnie do ojca: – Odzyskała dla mnie moją piłkę.

– Jesteśmy pewni, że ona jest dzinnem? – zapytał Kazem.

– To bękart diabła znaleziony na ulicy – odparła jego żona.

– Więc byłbym teraz ostrożny z tą piłką, synu. Kto wie, jakie zaklęcia w niej umieściła. – Kazem zaśmiał się i puścił chłopcu oko, ale ten nie umiał określić, czy ojciec żartuje i czy Aria naprawdę jest córką dzinna.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).